ROK XXX. SIERPIEŃ - WRZESIEŃ 1936 r. ZESZYT VIII i IX.

Powściągliwość i Praca



POWŚCIĄGLIWOŚĆ i PRACA

Miesięcznik — Organ Tow. Świętego Michała Archanioła poświęcony sprawom wychowawczo-religijnym, kulturalno-społecznym i narodowym.

Wydawca: Towarzystwo Świętego Michała Archanioła.

Prenumerata roczna w kraju 3 złp. — za granicą 5 złp. Prenumeratę, korespondencję, wszelkie zamówienia na wydawnictwa i ogłoszenia oraz wszelkie inne przesyłki dotyczące czasopisma upraszamy kierować wyłącznie pod adresem: **Redakcja „Powściągliwości i Pracy" w Miejscu Piastowym, Małopolska.** Pieniądze można przesyłać: przekazem pocztowym (przy czym na odcinku należy zawsze wypisać ich przeznaczenie), blankietem P. K. O. w Krakowie Nr. 405.570 (również z dopiskiem na co pieniądze są przeznaczone), albo przekazem rozrachunkowym. Cena pojedynczego zeszytu 25 gr.

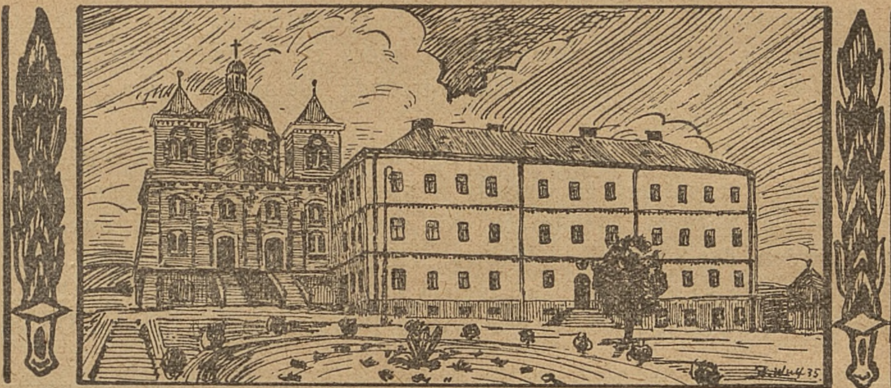
Ofiary w złotych na Zakład Wychowawczy w Miejscu Piastowym:

Karpińska M. w L. 2·50, — Mierzejewski Stanisław w W. 1·80, — Ks. Parysz W. w W. 20, — Wysocka P. w W. 10, — Ks. Bieda Konstanty w P. 10, — Krajewska Ludwika w M. P. S. 3, — Cekus Felicja w W. 1·50, — Gorzkowska Cecylia w St. 3, — I. Jakubowska w L. 5, — Klejowa E. w D. 6, — Magdówna Z. w W. 10, — Orzechowicz A. w P. 2, — Matkowska M. w M. 10, Komunalna Kasa Oszczędności w J. 50. — Jakubowski St. w H. 3, — Czubankówna W. w S. 4, — Ks. Sławiński B. w Ameryce 52·70, — Władysław Berski w T. 10, — Kryda Stanisław w S. 2·07, — Jan Walkow w L. 2, — Dr Antoni Jan Stach w D. 10, — Janicki w M. 3, — Grosmanowa F. w R. 10, — Osada M. w S. 2, — Sodalicja Mariańska Pań w K. 15, — Jan Wiktor w Ż. 34·10, — P. I. tech. Zuwadowski w W. 4·50, — Ks. Andrzej Trzyma w H 10, — Murzyn Jan w U. 11·05, — Kazimierz i Maria Karpińscy w L. 2·50, — Czajkowski L. w B. P. 5, — Dr Ludwik Zmitrowicz w W. 2, — J. Biggatt w K. 3, — Ks. Szpimar w W. 4, — Kasprzyk w Z. 34·84, — Markiewicz J. w L. 20, — Ks. Bałuk w B. 10, — Barbara Turkiewicz w P. 5, — Ks. Max Gannas Detroit Mich. z Ameryki 525, — N. N. w B. 15, — Jan Taborski w P. 3, — M. Drohojowski w C. 10, — M. Osada w S. 2, — M. Wołkowicka w S. 5, — Przyłęcki Józef w L. 11, — Ks. kan. Paweł Smoczeński w K. wraz z parafianami, składka odpustowa 15

Na chleb św. Antoniego: Ks. J. Czadowski w B. G. 5, — Janicki w M. 3.

Wszystkim ofiarodawcom niech Pan Jezus sowicie wynagrodzi w tym i przyszłym życiu. W każdej Mszy św. pamiętamy o naszych Przezacnych Dobrodziejach.

Ks. JAN LATUSEK
Dyrektor Zakładu.



HYMN MŁODYCH.

Nad nami skrzydła rozwija
amarantowy nasz znak,
na którym Panna Maryja
i biały Polski ptak.

Pójdziemy za nim w szeregu
w jeden złączeni chór,
od bałtyckiego hen brzegu
aż do karpackich gór.

Niesiemy miłość i wiarę,
kochamy pracę i trud —
idziemy szeregi szare,
by zbawić polski lud.

Choć wokół ciemne są moce,
my idziem, gdzie blaski zórz,
sztandar nad nami łopoce:
Służ sprawie świętej, służ!

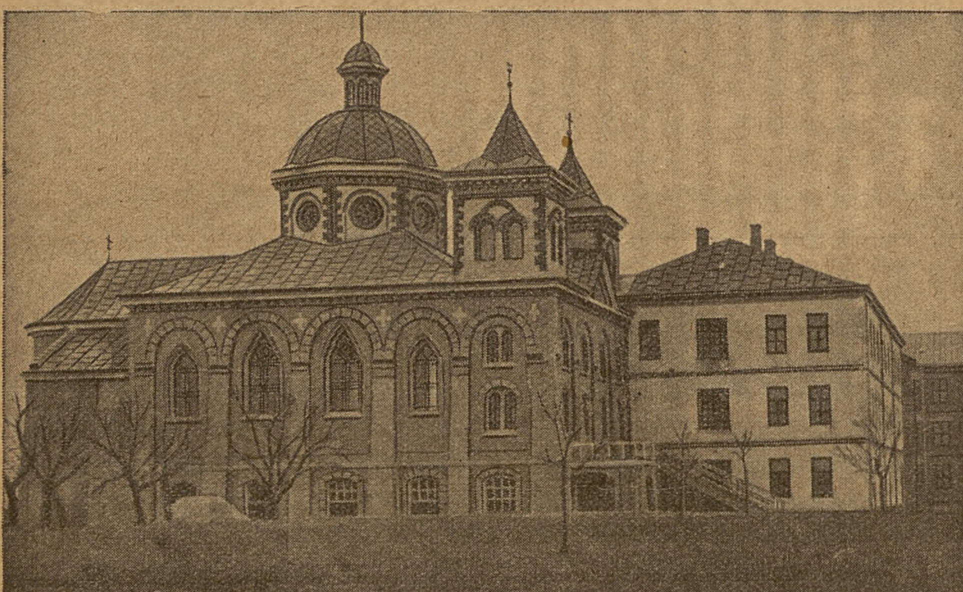
Ks. Franciszek Błotnicki.

Podwójna uroczystość.

Dnia 29 września 1921 r. Towarzystwo nasze, istniejące już od r. 1898 pod nazwą Towarzystwo Powściągliwość i Praca, zostało zatwierdzone przez Władze duchowne jako Zgromadzenie zakonne. W tym roku wypada 15-lecie tej miłej a nadzwyczaj doniosłej dla nas uroczystości. Związani w Zgromadzenie zakonne, pod opieką Kościoła, pod strażą własnych konstytucji, mamy możność działania nieograniczonego czasem ani przestrzenią, tak jak nieograniczonym jest Kościół Chrystusowy. Śmiało możemy patrzeć w przyszłość nie obawiając się, że kiedyś Towarzystwo przestanie być tym, czym jest, jak to się powszechnie zdarza z wszystkimi świeckimi organizacjami, które po latach pierwotnej gorliwości, upojone chwalebną przeszłością, spoczną na laurach i poczną obliczać zyski.

Zatwierdzenie kościelne dla swego Towarzystwa to było największym pragnieniem Ks. Bronisława Markiewicza, który chciał dziełu swemu zapewnić trwałość i moc wewnętrzną tak potrzebną dla realizowania zadań trudnych, jakie mu zlecił.

Dlatego dzień ten dla naszego Zgromadzenia jest dniem wielkiej rocznicy, tym uroczystszej, że wypada w święto głównego Patrona Zgromadzenia — św. Michała Archanioła. Nie stało się przypadkiem owo skojarzenie dwóch dat i nie przypadkowy traf je zdarzył. Wszakże św. Michał Archanioł przez samego Ks. Założyciela był obrany za głównego Patrona Towarzystwa, będącego jeszcze pod nazwą Powściągliwość i Praca. Do tego



Nowowybudowana Kaplica Zakładowa pod wezwaniem Królowej Korony Polskiej.

Świętego Archanioła miał Ks. Założyciel szczególne nabożeństwo i to nie tylko ze względów uczuciowych i osobistych, ale dla wielkich wartości społecznych, jakie w tym nabożeństwie widział.

Wszakże Ks. Markiewicz wieszczym duchem obdarzony widział przyszłość. Bóg mu objawił wojnę światową i wiele jej skutków — rozdarcie świata całego na wrogie obozy, z walk klasowych wyłaniającą się wojnę religijną, wojnę kultury z barbarzyństwem i materializmem, to wszystko, czego jesteśmy świadkami. Zwracał więc uwagę na to hasło, którym ten święty Archanioł już raz pokonał szatana — „Któż jak Bóg“, — kto się może Bogu przeciwstawić, jakie wartości można stawiać wyżej nad święte prawo Boże i jakie widoki może mieć walka z Bogiem. Nie ulega bowiem wątpliwości, że w chwili dzisiejszego zamętu haseł i programów, gdy na przeciw

siebie stoją dwa obozy, Kościół Katolicki i bojujące bezbożnictwo, a pomiędzy nimi ścierają się i kotłują liczne obozy zrzeszeń różnej barwy i przekonań, szukające kompromisów, niedość silne i niedość szczere, aby stanąć otwarcie za jedną lub za drugą stroną — ten tylko nie błądzi, kto na wszystkie wątpliwości i problemy, w imię których rozgrywa się walka, ma jedną mocną odpowiedź „Któż jak Bóg". Dlatego św. Michała Archanioła uczynił patronem swego towarzystwa. Dzięki temu dzień 29 września, uroczystość św. Michała Archanioła święcimy jako święto podwójne. Sumę w tym dniu odprawi w Kaplicy Zakładowej arcypasterz diecezji naszej Ks. biskup Franciszek Barda. Wierni, którzy wraz z nami wezmą udział w tym święcie, będą mieli możność w kaplicy naszej dostąpić odpustu zupełnego, o ile wypełnią zwyczajnie wymagane warunki. Ten przywilej dała nam Stolica Apostolska na stałe. Zapraszamy więc wszystkich naszych Przyjaciół na tak miłą uroczystość.

Sekciarstwo w Polsce.

Sprawa ruchów sekciarskich w Polsce współczesnej nie jest bynajmniej kwestią wyłącznie wyznaniowo-kościelną, ale sprawą, w całym tego słowa znaczeniu, polityczną, sięgającą zagadnień bezpieczeństwa państwa.

Ruchy sekciarskie doby dzisiejszej nie są bowiem rezultatem przeżyć i fermentów religijnych, ale formą propagandy destrukcyjnej, organizowanej pod sztandarem różnowierstwa, drogą przenikania wpływów obcych, wrogich państwu i narodowi.

W latach niewoli, przy poparciu zaborcy, wyłoniła się na ziemiach polskich jedna tylko sekta — mariawityzm, z chwilą zaś odpływu okupantów rozpoczęła się masowa ofensywa sekt spod różnych znaków, rozpoczęła się walka o duszę narodu!

Wpływy żydowskie uzewnętrzniają się we wszystkich wymienionych sektach — a najdobitniej występują w założeniach religijnych i społecznych tzw. „badaczy pisma św."

Największą wszechstronność w propagandzie wykazywali metodyści. Sięgali oni do wszystkich ośrodków życia polskiego.

Sekty inne ograniczają się do akcji wśród mas robotniczych i włościańskich.

Pewien sukces hodurowców w odłamach radykalnej inteligencji polskiej posiada wyłącznie polityczne podłoże, bez jakiegokolwiek zabarwienia religijnego.

Znamienną cechą współczesnych ruchów sekciarskich w Polsce jest gwałtowne wysuwanie programów polityczno społecznych i poszukiwanie oparcia w odpowiednich ugrupowaniach i stronnictwach.

Skala tych programów jest szeroka i rozpościera się na przestrzeni od radykalnego socjalizmu do bolszewizmu włącznie.

Najenergiczniejszą propagandę uprawiają u nas sekty, wyrosłe na podłożu protestantyzmu amerykańskiego. Do sekt tych zaliczyć należy „metodystów“, „badaczy pisma św.“ i „adwentystów“.

Sekty inne, nie wyłączając nawet tych, które opierały się niegdyś częściowo o założenia Cerkwi prawosławnej, są pochodzenia niemieckiego.

Baptyści, sztundyści, duchoborcy, sobotnicy i przedstawiciele drobnych odłamów, występujących pod firmą „kościołów wolnych“, uzależnieni są właśnie od protestantyzmu niemieckiego.

Wszystkie sekty, działające obecnie w Polsce — są formalnie i faktycznie uzależnione od czynników obcych.

Władze kierownicze tych pseudoreligijnych związków znajdują się poza granicami Polski i stamtąd kierują całym ruchem.

Siła liczebna szeregu sekt — jest znikoma. A jednak wydają one pisma, broszury, utrzymują płatnych „misjonarzy“, ponoszą znaczne wydatki na propagandę, kaptują sobie zwolenników pieniędzmi. Nie ulega kwestii, że „kościoły“ te rozporządzają poważnymi kapitałami zagranicznymi.

Zakres zainteresowań sekciarzy wywołuje niepokój nawet w kołach radykalnych. Przed kilku laty prasa stołeczna podjęła sprawę kwestionariusza jednej z sekt, rozwijającej działalność na ziemiach naszych. Sprawy wojskowe zajmowały w kwestionariuszu tym wybitne miejsce.

Dokument polecał „braciom i siostrom“ sprawdzać, gdzie były stacjonowane poszczególne pułki, jaki w nich panował nastrój. Pytania inne dotyczyły stosunku wojskowych do zagadnień społecznych i politycznych, odnoszenia się oficerów do żołnierzy, stanu dróg, mostów itp. Czyż wiadomości te potrzebne były głosicielom nowych „prawd“ wyłącznie dla celów misyjnych?

Wyroki sądów polskich stwierdziły niejednokrotnie, że firmy i szyldy sekciarskie służyły jako przykrywka dla agitacji wywrotowej, i pewne sekty nie cofały się przed propagandą, zmierzającą do wywołania przewrotu i obalenia istniejącego ustroju.

Streszczone fakty dowodzą, że sekty, grasujące obecnie w Polsce, posiadają na celu nie tylko rozbicie jedności religijnej narodu, ale przyświecają im także cele bliższe i konkretniejsze.

Pomimo sprzeczności w programach i założeniach religijno-dogmatycznych, front sekciarski jest zgodny i jednolity.

Odnosi się wrażenie, że jedna ręka kieruje tymi różnoimiennymi placówkami — i to właśnie stanowi najbardziej tajemniczą i najwięcej niepokojącą stronę ruchów sekciarskich w Polsce dzisiejszej.

Adwentyści.

Już w XVII wieku istniała w Ameryce sekta „millenarystów“ *), spodziewająca się przyjścia mesjasza i tysiącletniego panowania jego nad światem. Dzisiaj oczekują mesjasza tzw. badacze pisma św., mennonici, sabbatyści, mesjaniści, wolni chrześcijanie i adwentyści.

Wiara w przyjście mesjasza występuje zwłaszcza u adwentystów, którzy przybrali sobie nawet odpowiednią nazwę (adventus — przyjście). Aby zakończyć plan odkupienia, Chrystus raz jeszcze musi zstąpić na ziemię. Jezus nie przyjdzie w poniżeniu — jak niegdyś przed wiekami, ale zstąpi na ziemię w chwale i mocy, jako Król królów i Pan panów.

Narodom dane są już znaki tych ostatecznych czasów: wojny, głód, nędza, ucisk i katastrofy żywiołowe.

Ponowne przyjście Chrystusa na ziemię, według adwentystów, nie jest związane z końcem świata, ale z okresem panowania Chrystusa na ziemi, które trwać będzie lat tysiąc.

Dopiero po tej ostatniej, pełnej pokoju i szczęścia — epoce, nastąpi koniec świata.

W nauce adwentystów, głoszącej, że celem powtórnego przyjścia na świat Chrystusa nie będzie jedynie sąd nad żywymi i umarłymi, ale fizyczne rządzenie i panowanie nad ziemią, wyraźny jest pływ zjudaizowanych sekt angielsko-amerykańskich, w których wierzeniach fakt przyjścia Zbawiciela na świat zatarł się zupełnie, a miejsce jego zajęło oczekiwanie przyjścia mesjasza żydowskiego.

Prądy judaistyczne w sekcie adwentystów wyrażają się także w święceniu soboty a zwalczaniu niedzieli.

Najliczniejszy odłam adwentystów, tzw. „adwentyści dnia siódmego“ obchodzą sobotę jako dzień święty, w przeciwstawieniu do „adwentystów tysiąclecia“, którzy święcą niedzielę.

Rozłamy w sekcie adwentystów wywoływały przede wszystkim, zawsze oczywiście zawodzące, proroctwa i przepowiednie na temat końca świata.

Założyciel sekty, William Miller, przepowiadał koniec świata na rok 1843, a kiedy data ta zawiodła, na rok 1847. Według „adwentystów tysiąclecia“ koniec świata miał nastąpić w jesieni 1914 r.

W Polsce adwentyści istnieli już przed wybuchem wojny światowej.

Obecnie głównym ośrodkiem ich akcji jest Bydgoszcz, gdzie wydają dwa pisma periodyczne: „Głos Prawdy“ i „Znaki czasu“.

Wszystkie sekty, wyrosłe z protestantyzmu, teoretycznie opierają się o zasadę Lutra — swobodnego i indywidualnego interpretowania Pisma św.

W istocie zaś rzeczy, każda z sekt przestrzega wyłącznie swoich wytycznych i do nich nagina tekst Pisma św.

---

*) Działająca obecnie w Europie sekta millenarystów jest ekspozyturą sekty „badaczy pisma sw.“

Tego rodzaju zacieśnienie równa się oczywiście przekreśleniu podstawowej zasady protestantyzmu.

Wyłączność ta cechuje także adwentystów. W ich pismach i wydawnictwach, nacisk położony jest przede wszystkim na sprawę ponownego przyjścia na świat Zbawiciela.

Wszystko inne odsunięte jest na plan dalszy.

Historia sekciarstwa wylicza szereg sekt pokrewnych, tj. takich, które wszystkie swe założenia dogmatyczne sprowadziły do pewnych tylko momentów, jak np. w tym wypadku do oczekiwania przyjścia ponownego Chrystusa.

Sekta adwentystów jest pochodzenia amerykańskiego, u nas jednakże przeważają w niej wpływy niemieckie.

Miarą potęgi środków finansowych tej sekty są dane cyfrowe, które podał „Przegląd misyjny adwentystów" z r. 1928: „W ubiegłym roku (1927) obrót w sprzedaży naszych wydawnictw osiągnął sumę 22.158.000 franków w złocie. W ciągu ostatnich lat pięciu wzbogaciliśmy naszą listę o 25 nowych języków, w ten sposób liczba języków, w których drukujemy, podwyższona została do 128.

Na szczególną uwagę zasługuje stosunek rządu Sowietów do adwentystów i baptystów.

Rząd ten, prowadzący bezwzględną, eksterminacyjną walkę z Kościołem katolickim i Cerkwią prawosławną, otaczał przez szereg lat wymienione sekty opieką i popierał ich propagandę".

„Rząd sowiecki — donosił „Przegląd misyjny adwentystów" z r. 1928 — udzielił nam przywileju wydrukowania w Leningradzie 5.000 egzemplarzy Biblii w języku rosyjskim. Taki sam przywilej dano nam w Kijowie".

Równocześnie, jak doniosła w lecie 1928 r. agencja A. W., także sekta baptystów otrzymała od rządu sowieckiego pozwolenie na zorganizowanie w Leningradzie oraz w miastach okręgu leningradzkiego, szeregu kół i klubów dyskusyjnych. Działająca u nas sekta „adwentystów siódmego dnia" stanowi zjudaizowany odłam adwentystów.

„Kościół Wspólnoty Adwentystów 7-go dnia" święci według obrządku żydowskiego sabbat i rozpoczyna nabożeństwo w piątek wieczorem *).

W Berlinie sekta ta posiada 13 sal modlitwy. Jej nakłady wydawnicze w Niemczech sięgają 125.000 egzemplarzy.

Jest rzeczą charakterystyczną, że nastawiona całkowicie na czasy ostateczne — nauka adwentystów, odrzuca właściwie nieśmiertelność duszy, która ma być udziałem tylko garstki wybranych.

Dr Mieczysław Skrudlik.

---

*) W Warszawie działają jako grupy autonomiczne:
1) Społeczność Adwentystów Dnia Siódmego w Polsce.
2) Autonomiczny Zbór Adwentystów Dnia Siódmego.
3) Reformowany Zbór Adwentystów Dnia Siódmego.

Trzeba rozpocząć surowe życie.

Człowiekowi, który czyta to, co piszą gazety, — który ma oczy na świat otwarte i zdaje sobie choć nieco sprawę z tego, co się na tym świecie dzieje, — okropnie się robi i strasznie, gdy zacznie wnikać w przyczynę tego wszystkiego.

Z jednej strony dochodzą go głosy wołającego na puszczy, głosy nawołujące do opamiętania, do ratowania ludzkości topiącej się w złości, zapamiętaniu i bezprawiach, brnącej w morzu przelewanej daremnie krwi bratniej, idącej na ślepo ku zatraceniu, — z drugiej strony tańczą koło niego jakby szaleńcy pozbawieni rozumu jakiś obłąkany, pijany taniec, z którego wyrwać ich nie podobna. Świat idzie ku zagładzie, a ci co drogę wskazują i chcą go ratować, są bezsilni.

Ideały religii Chrystusowej, wzniosła nauka Zbawiciela, najpiękniejsze i najmądrzejsze zasady zostały odrzucone i pogardzone. **Świat brnie w nieprawości** — miejmy odwagę sobie to raz jasno i wyraźnie powiedzieć — świat pogrąża się w zupełnym upadku. Jak maszyna zepsuta, w której tysiące kółek i dźwigni, które mają za zadanie sobie wzajemnie pomagać, wytrącona z równowagi, wstrząśnięta i w podstawowych swych częściach uszkodzona, nie spełnia swego zadania, a wydaje tylko ze siebie głuche zgrzyty, tryby jej i kółka powychodziły ze swych łożysk, zardzewiały i przeraźliwie trą o siebie bez żadnego celu, tak dzisiejsze całe życie nasze przedstawia obraz zniszczenia i rozpaczy.

Szukamy ratunku z daleka od siebie, a nie szukamy go u nas samych. Żadne słowa nie mogą być w tym stanie rzeczy zbyt silne, żadne skarcenie zbyt ostre — wszystko, co mówimy i robimy, zbyt nikłe się wydaje, słabe i wątłe.

A jednak padły słowa, nad którymi warto byłoby się zastanowić. Słowa proste, krótkie i zwięzłe, a jednak jak mądre... Jakież zgodne z naszą nauką chrześcijańską, jak wiernie z nią się pokrywające, jak wiele mówiące.

„Trzeba zacząć surowe życie“.

Zastanówmy się nad tymi słowami.

. . . .

Przede wszystkim do kogo się one odnoszą? Czy do pewnej tylko grupy ludzi — do ludzi „niektórych“ — jakichś gdzieś pławiących się w dostatkach szczęśliwych wybrańców losu?

Bardzo błędne byłoby takie interpretowanie. Byłoby to zawsze przesuwanie winy tego, co się dzieje, — na kogoś poza nami, — szukanie winnych w obrębie znajdującym się zewnątrz nas, — zwalanie ciężaru i odpowiedzialności na kogoś innego byle nas zostawiono w spokoju.

Otóż takie tłumaczenie sobie tych słów byłoby nietylko nieracjonalne, błędne, niecelowe, ale całkiem niechrześcijańskie. Byłoby to raczej aktem oskarżenia zamiast aktem skruchy, — aktem zazdrości, chciwości i nienasyconego pożądania zamiast aktem poprawy.

Winy szukać ma każdy w sobie...

Każdy winien rozpatrzyć dobrze to, co czyni, — przeprowadzić dokładny rachunek swego sumienia, nie oglądając się zupełnie na innych, — zanalizować sumiennie całe swoje życie i szukać w nim tego, co złe, co niepotrzebne, co gorszące, co dałoby się usunąć. Gdy wszyscy to uczynią sami z siebie, bez żadnego z góry przymusu, — na podstawie li tylko tego moralnego nakazu, który tkwi w nas samych a którego odzwierciedleniem i najdoskonalszym wyrazem jest nauka Chrystusowa, — świat się poprawi i pójdzie ku dobremu. Ustanie nędza i bezrobocie. Ustanie złość, zazdrość i narzekanie. Zapanuje na świecie z powrotem słoneczna pogoda. Ale musimy się koniecznie poprawić. Wszyscy bez wyjątku, wielcy i mali, biedni i bogaci, starzy i młodzi, zdrowi i chorzy. Wszyscy, wszyscy bez wyjątku.

Musimy zacząć nowe życie... surowe... Dla kogo surowe? Czy może dla innych? Czy mamy bardziej surowo oceniać postępki naszych bliźnich? Czy mamy bardziej surowo krytykować ich postępowanie? Czy może jeszcze bardziej mamy zazdrościć, jeszcze bardziej pożądać, jeszcze bardziej stać się zachłanni i dążyć do tego, aby zrównać się z tymi, co mają więcej od nas, jeszcze bardziej nie przebierać w środkach celem wydarcia drugiemu, co posiada, i nasycenie swej żarłoczności?... Chyba nie o to chodzi.

Surowi mamy stać się sami dla siebie! Surowi tzn. zdający sobie sprawę z tej wartości wielkiej, jaką każdy z nas reprezentuje wobec Boga i ludzi, z tej odpowiedzialności ogromnej, jaka na nas została nałożona, z tych wszystkich możliwości, jakie przed nami stają, z tego, czego od nas świat daremnie nieraz oczekuje.

Czy jest słusznym i prawdopodobnym twierdzenie, iż zaciągnęliśmy już tak dalece pasa, że dalsze zaciągnięcie staje się niemożliwym? Czy szukaliśmy dobrze tych jeszcze możliwości, które się wyłaniają, gdy lepiej się sprawie przyjrzymy, a które nam pozwolą jeszcze bardziej zacisnąć pasa?

Czy w naszych codziennych wydatkach nie znajdziemy pozycyj, które by jeszcze mogły ulec skreśleniu? Czy to, co wydajemy na nasze mieszkanie, na naszę odzież, nasze pożywienie, nasze rozrywki, jest rzeczywiście tak już do ostateczności ściśnięte, skurczone, pomniejszone, że dalej pomniejszyć się nie da? Czy żyjemy w s z y s c y w ubóstwie?

„Błogosławieni ubodzy, albowiem...“ przypomnijmy sobie te słowa Chrystusa Pana i zastanówmy się, czy staliśmy się naprawdę wszyscy ubodzy? Przecież ubogim był cieśla z Nazaretu, ubodzy byli apostołowie

— a przecież to ubóstwo nie było ich hańbą tylko wielkim zaszczytem. Przecież ubodzy — jak powiedział Bossuet — „są prawdziwymi dziećmi Kościoła, są nimi z prawa i pierwszego ustanowienia, bogaci tylko z łaski i przywileju. Bóg chciał, aby mieli ten zaszczyt utrzymywania swych bliźnich". Zastanówmy się głęboko nad tymi słowami — jakież w nich znajdujemy cudowne rozwiązanie najzawilszej kwestii społecznej!

Może powie mi ktoś, że to dobre było w średniowieczu, ale nie dzisiaj. Dzisiaj świat dąży do kultury, do bogactwa, do coraz silniejszego powiększania stopy życiowej a nie do nędzy!

Jakież to przewrotne, jakie złudne, jakie nieprawdziwe z gruntu i fałszywe twierdzenie! Czyż znajdzie się ktoś taki, coby śmiał rzucić hasło cofania się w postępie i kulturze ludzkości po tych znakomitych odkryciach i wynalazkach XX wieku, gdy na oczach naszych odbywa się ustawiczna praca i tryumf genialnego umysłu ludzkiego i rozwój jego ku wyżynom najświetniejszego postępu? Szanujemy tu postęp i cenimy go wysoko, ale chcemy, aby on był choć w części w zdrowych swych przejawach dostępny jak najszerszym masom ludności. Chcemy, aby było jak najmniej ludzi fizycznie ułomnych, chorych, kalek, nędzarzy — chcemy, aby nie było dzieci zaniedbanych, którymi się nikt nie opiekuje, które w kurzu ulicy i mrokach suteren wyrastają na zbrodniarzy. Chcemy, aby każdy najbiedniejszy nawet człowiek używać mógł dobrodziejstwa słońca, powietrza, kąpieli. To jest kultura. To jest postęp ludzkości w naszym mniemaniu.

Ale co ma z tym wszystkim wspólnego korzystanie z płaskich uciech życia, które polegają na przyozdabianiu mieszkań w niepotrzebne i zbędne przedmioty zbytku, przystrajanie ciała w kosztowne, dziwaczne, a nieraz wprost brzydkie artykuły odzieżowe dla ślepego naśladownictwa tych, co to wymyślili, — co ma z tym wszystkim wspólnego zaspakajanie aż do przesytu potrzeb zwyrodniałego podniebienia, wprawianie się w stan odurzenia przeróżnymi narkotykami, z których najpowszechniej w użyciu grasują alkohol pod różnymi postaciami i nikotyna. Zastanówmy się dobrze i zapytajmy się sami siebie, czy to są wszystko rzeczy, bez których obejść się nie możemy, — czy nie możemy sobie wiele jeszcze odmówić z tego, co przecież stanowi poważną sumę wydatku codziennego, korzyść naszych bliźnich cierpiących tuż pod okiem naszym nędzę, brud i głód?

Popatrzmy tylko uważnie w ich stronę! Nie odwracajmy z niechęcią od nich oka. Przecież Chrystus uczył nas, że „Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi dostać się do Królestwa Niebieskiego..." Tak uczył Chrystus — a my co czynimy? Czy litujemy się nad tymi biedakami? Czy mamy serce współczujące z nędzą ludzką? Dlaczegóż szukamy zła poza nami, skoro ono tkwi w nas samych?

. . . .

Nie ma na świecie z jednej strony bogactwa wyraźnego i tak właśnie zakwalifikowanego — z drugiej strony zaś nędzy i musu między jednym a drugim. Tak jak nie ma odgrodzonego murem od nocy blasku dziennego tylko jest świt i zmierzch, ranek i wieczór, — są dni pogodne i słoneczne, i deszczowe, i chmurne — obłoki przelatują po błękicie niebios, łączy się światło ze zmrokiem, — między żarem słonecznym równika a zimnem lodów północy są kraje ciepłe, o temperaturze umiarkowanej. Wszystko jest w swej różnorodności i odrębności inne i nie takie samo, ale wszystko jest przedziwnie pomieszane i z sobą skojarzone. Zło i dobro, noc i dzień, starość i młodość, ubóstwo i bogactwo. Nie należy nam kwalifikować, kto jest bogaty, a kto ubogi, to rzecz Sędziego Najwyższego, przed którym wszyscy zdawać będziemy sprawę. On wie najlepiej, kogo ma zaliczyć do tych, co nie przejdą przez ucho igielne.

Ale dla nas wszystkich jest jedno przykazanie: „Czyń dobrze"! Dla nas wszystkich: biednych i bogatych — i średnio zamożnych i prawie zubożałych i żyjących w znacznym niedostatku. Przecież Bóg widzi myśli nasze i według nich ocenia uczynki. Ten grosz biblijnej wdowiny milszy mu jest może, niźli ofiara wielkiego bogacza niechętnie uczyniona dla zaspokojenia, a raczej uśpienia sumienia! I biedak może dopomagać bliźniemu jeszcze od niego biedniejszemu. Trzeba tylko raz zacząć naprawdę surowe życie. Surowe dla siebie a nie dla innych. Sobie trzeba wiele odmówić — nie drugiemu z zazdrości i zachłanności jego sobkostwo wypominać. Przed każdym tyle możliwości. Gdyby każda rodzina, która jeszcze może wegetować i może cokolwiek przy tym odłożyć, — zechciała zająć się naprawdę po chrześcijańsku, serdecznie i szczerze jedną rodziną całkiem opuszczoną, znajdującą się w nędzy, — jakżeż szybko zmieniłoby się oblicze świata. Jedno słowo dobre, jeden uśmiech, jedno podanie ręki w nieszczęściu jakżeż odmienić potrafią ludzi. Siły nowe w nich wlać, skrzepić w duchu, dodać mocy w przetrwaniu złej doli, — odrodzić, odnowić życie.

Wielkie jest dzieło chrześcijańskiego miłosierdzia. Większe niż wszystkie ustawy tego świata, zbawienne w skutkach i dlatego, co bierze, i dla tego, co daje.

Tylko dawać musimy chętnie i szczerze, z głębi serca, z głębi naszej duszy.

Wtedy świat się odmieni i nędza na świecie ustanie — i zapanuje prawdziwa kultura. Kultura serc, kultura ducha, kultura miłości chrześcijańskiej, którąśmy gdzieś precz wygnali i dziwiliśmy się, że świat idzie ku zagładzie.

Surowi być musimy dla siebie — nie dla bliźnich. A sąd nad złymi zostawmy Bogu!

Nie uważajmy tego, co dobrze czynimy, za jakiś swój wielki przymiot, powód do wyróżnienia! To nasz najzwyklejszy obowiązek, o

którym zapomnieliśmy! Czas, abyśmy go sobie przywiedli na pamięć! Inaczej lepiej nie nazywajmy się chrześcijanami! Bo będziemy nimi z nazwy tylko — nie z istoty rzeczy. Mamy żyć tak, jak żyli pierwsi chrześcijanie. Mamy wskrzesić w sobie pełną, silną, gorącą wiarę i mamy ukochać — naprawdę ukochać bliźniego! Ukochać całym sercem — tak, jak kochamy własną rodzinę, własne dzieci. Myśmy wszyscy jedna rodzina — myśmy wszyscy dziećmi jednego ojca!

. . . .

A dla tych, którzy może powiedzą, że to pisał jakiś obłąkany fanatyk średniowieczny, nieliczący się z duchem dzisiejszego czasu, przypomnę słowa, które wyrzekł słoneczny nędzarz-poeta, wędrowiec i gawędziarz, co zwiedził wszystkie porty świata i spojrzał w oczy nędzy kryjącej się w dokach portowych i zakamarkach mrocznych w wielkich stolicach świata, — Jack London:

„To nie jest współczucie rzucić głodnemu psu kość. Miłosierdzie — to podzielić się jedyną kością z psem, kiedy się jest sam głodny jak pies...”

St. Sz.

FR. SYPOWSKI.

Przyczyny masowego upadku moralności.

(*Ciąg dalszy*)

Sławna gościnność polska, której wyrazem były zdania: „Gość w dom, Bóg w dom“, — Czym chata bogata, tym rada“, nie była wyłączną zaletą Polaków. Była zwyczajem także u innych narodów, które nie utrzymywały u granic swych krajów strażników, żądających, jak dziś, legitymacyj i paszportów. Bezpieczeństwo podróży było tylko przez parę wieków zagrożone w Europie przez tzw. „Raubritterów“, których zamki popadły w ruinę już w 16 wieku jedynie na skutek pracy zakonów i klasztorów, która sprawiła, że świeccy panowie, królowie i rządcy krajów tylko z pobudek religijnych wytępili rycerzy rozboju, a wprowadzili chwalebne zwyczaje chrześcijańskiego honoru rycerskiego.

Honor ten krzewił się tylko dzięki żarliwej pobożności wodzów narodu, książąt i królów, był gorliwie naśladowany przez resztę możnych panów a nawet przez mieszkańców miast. Wszyscy byli bowiem przejęci uwielbieniem powyż przytoczonych cnót zakonnych: ubóstwa, czystości, pokory i posłuszeństwa, a że nie byli do cnót tych związani ślubami zakonnymi, starali się to wynagrodzić arcypiękną cnotą miłosierdzia chrześcijańskiego, jakiego wzorowymi i czynnymi wyznawcami były zakony „Braci i Sióstr Miłosierdzia”.

Badacze kultury ducha ludzkiego i jej wpływu na masy ludowe Europy, które dzięki wychowaniu w zasadach chrześcijanizmu nie dały się porwać do żadnych samowolnych buntów w średnich wiekach i dotąd zachowały swe

siły, tężyznę i zdrowie, zasłużą się postępowi w urabianiu doskonałości natury człowieczej daleko więcej, niż najgenialsi przyrodnicy i wynalazcy.

Stwierdzą oni na pewno, że dopiero z końcem 18 wieku, kiedy masoneria tj. liberalizm, czyli tzw. wolnomularstwo przez swych chytrych pseudofilozofów, — jakby najętych fałszywych proroków, — podniosło bunt przeciw religii chrześcijańskiej, — zaczęła się ludzkość europejska staczać powoli do tagiego stanu upadku zdrowia i wewnętrznych sił duchowych, jakiego dziś jesteśmy naocznymi świadkami.

IV.

Wkrótce po rozszerzeniu się w Europie szatańskiej myśli owych pseudofilozofów zerwania związku człowieka z Bogiem, — co dało początek rewolucji we Francji pod koniec 18 wieku, — nastąpiło przypadkowo, niespodziewanie, dotąd w dziejach ludzkości nieznane zjawisko, które bardzo pomogło do potargania więzów ducha ludzkiego z siłami nadprzyrodzonymi i z Bogiem. Zjawisko to zaczęło burzyć pokorę wobec Boga i zbałamucone przez owych filozofów (Wolter, Rouseau) umysły ludzkie napoiło pychą, choć powinno raczej spotęgować tę pokorę.

Zjawiskiem tym było przypadkowe odkrycie, że siły przyrody dadzą się użyć do pracy i pomocy w wytwarzaniu środków potrzebnych ludziom w życiu codziennym, słowem, do zastąpienia wysiłków fizycznych człowieka.

Po prostu mechanizacja czyli zaprzągnięcie sił przyrody do pracy za pomocą maszyn zawróciła głowy ludzkie, — i tak jak u zbuntowanych aniołów zrodziła pychę w umysłach człowieczych, która tak je oszołomiła, że człowiek zaczął równać się z Bogiem, wyrzucając ze swej duszy dawne o Nim pokorne pojęcie.

Ale z biegiem czasu stało się wbrew pysze człowieka, — tylko przez niewidzialny, nieuchwytny jego związek wewnętrzny duchowy z nadprzyrodzoną siłą i wolą Stwórcy jego, — że praca mechanizmu, automatu, bez udziału woli i myśli człowieka zrodziła w nim powoli jakiś niepokój, który ducha jego zniewolił do zbudzenia się z umysłowej śpiączki przy maszynie. Zbudzony umysł zwiększył ów niepokój podejrzeniem, że maszyna ujarzmiła człowieka.

Niepokój ten trzeba uznać za pragnienie człowieka wyjścia z automatyzmu, z leniwego spoczynku jego myśli i woli, który go zrównał z materią nieorganiczną. Po prostu człowiek zautomatyzowany, odczuwający zesztywnienie i jakieś ubezwładnienie swego istnienia duchowego, zapragnął być przecież żywym człowiekiem z wolną wolą od Boga mu daną do jego rozporządzenia.

Stanął tedy pyszny dotąd człowiek na rozstajnej drodze a raczej na polu walki o odzyskanie swej wolności, o wyjście z niewoli, w jaką go maszyna wepchała. Walka ta jest rozpoczęta i trwa między duchem człowieka a materią nieorganiczną. A że jego duch pochodzi od Stwórcy, a materia jest również dziełem tego samego Stwórcy-Boga, więc też ten sam Stwórca

przechyli szalę zwycięstwa w tej walce na stronę ducha człowieczego, jakiego materia z woli Bożej nie posiada.

Z tego widzimy, że tylko przymierze człowieka z Bogiem tj. religia przyniesie ludzkości pokój, tj. zgładzi trawiący człowieka niepokój.

O tej walce, o tym procesie ducha ludzkiego z materią nieorganiczną, która w postaci tzw. zmaterializowania zapanowała nad ludzkością, powinny wiedzieć czynniki, biorące udział w tworzeniu i budowie kultury człowieka i popierać tę stronę walczącą, po której jest nadzieja zwycięstwa. Dotąd jednak nie widzimy żadnych kroków ze strony rządów świeckich w Europie i w ogóle na kuli ziemskiej, które by zmierzały do popierania i wzmacniania sił duchowych człowieka, lecz przeciwnie spostrzegamy pełną ich neutralność w tej walce, a nawet bardzo częste działanie na szkodę tych sił.

Wskutek tego materializacja jest dotąd prawie zawsze i wszędzie stroną ofensywną, gdyż ma pomoc w spekulacji na zdobywanie zysków pieniężnych i to bardzo często sposobem nieuczciwym, a nawet — z hańbą ludzkości — nieraz niemoralnym.

Działanie naszych świeckich czynników oświatowych, kulturalnych, jest w tej sprawie równającym się niemal zeru, jest neutralnym, o ile nie popierającym niegodziwą spekulację.

Godzi się tu przytoczyć, sposobem przykładu choćby część przerażających uwag autora artykułu „Warszawskiego Dziennika Narodowego" z numeru 22 b. r. p. t. „Szkoła demagogii":

„Spośród licznych źródeł zamętu, czynnych w Polsce, jednym z najszkodliwszych jest bez wątpienia Związek Nauczycielstwa Polskiego. Reprezentuje on obejmującą kraj cały sieć wpływów masońskich. Tą drogą sączą się strugi podmywające wiarę religijną, szerzy się specjalna moralność „niezależna" i swoisty liberalizm wobec zagadnień narodowych; idzie propaganda klasowego ujmowania zarówno interesów materialnych jak i społecznych oraz kulturalnych; roztacza się tolerancja dla wszystkich prądów, rozkładających naród polski, połączona ze ślepą, zaciekłą nienawiścią do przeciwników wpływów masońskich. Ci są przedstawiani zawsze jako nędznicy, najczarniejsza reakcja, wrogowie oświaty i kultury, przedstawiciele krwiożerczej burżuazji, gnębiciele ludu itd. itd. Jest jednocześnie Związek jedną z najlepiej zorganizowanych szkół demogogii. Najgorzej, że działa ona wśród nauczycielstwa, które uczy i wychowuje młodzież i lud.

„Dla człowieka inteligentnego wystarczy przeczytać jeden numer takiego np. „Głosu Nauczycielskiego", aby się zorientować, że demagogia jest ulubioną i wypróbowaną bronią Związku. Tyle tam znajdzie pięknych frazesów bez treści, gromkich haseł, wielkich żądań i nieziszczalnych obietnic, moc blagi i pozy bohaterskiej i cały, bogaty arsenał pochwał dla siebie i swoich zasług, oraz najbezwzględniejsze poniżanie i oczernianie przeciwników rozumie się masonerii".

W drugiej części tej rozprawki gorąco odwoływaliśmy się do najliczniejszych w Polsce organów wychowawczych ludu, tj. do szkół powszechnych i średnich o gaszenie pożaru cywilizacji chrześcijańskiej przez tępienie złych pism i książek niemoralnych. Tu nam znów wypada odwołać się do nich z gorącą i serdeczną prośbą o tępienie wszelkich wybryków i występów przeciw religijnemu wychowaniu młodzieży.

Czynimy to w imię patriotycznego obowiązku utrzymania naszego narodu w pełnej i rosnącej jeszcze sile duchowej i tężyźnie, jakiej mamy w tysiącletnich dziejach bardzo liczne i chlubne ślady po naszych przodkach. Całe 10 wieków przeszłości bytu narodu patrzy na nas. Duchy naszych wielkich i świetnych mężów, królów i bohaterów z lękiem spoglądają na nasze czyny i zaniedbania i pytają się, co zrobimy z ich bogatą i sławną spuścizną!

(D. n.).

Stosunek do dziecka jako wyraz kultury.

Stosunek dorosłych do dzieci jest tak bardzo zróżnicowany, jak może żaden inny wśród stosunków ludzkich.

W jednym wypadku dziecko otaczane jest bezbrzeżną miłością i opieką; staje się ono doraźnym celem życia ludzi dorosłych, niemal ich władcą, bóstwem. W innych znowu musi dziecko niemal służyć niewolniczo człowiekowi dorosłemu, jego sprawom i kaprysom, jest bite, poniewierane, traktowane jako bezwolny i bezduszny przedmiot, gorzej od zwierzęcia.

Między tymi krańcowymi stanowiskami jest cała gama odcieni.

Ustosunkowaniem się do dzieci różnią się nie tylko poszczególni ludzie między sobą, ale całe klasy społeczne i narody. Inaczej ten stosunek wygląda we Francji, niż w sąsiedniej Szwajcarii, inaczej w Anglii niż w Stanach Zjednoczonych, inaczej w Berlinie, inaczej w Wiedniu itd. Co dziwne, że nawet trudno na pierwszy rzut oka znaleźć jakieś zasady, podstawy tak różnego ustosunkowania się do dzieci

Nie odgrywa tu decydującej roli pokrewieństwo rasowe narodów, ani wpływy wyznawanych religij.

Nie jest tu również czynnikiem decydującym stopień zamożności. W ubogiej Austrii powojennej dziecko otaczane jest wielką opieką i troską, gdy w bogatej Francji stosunek do dzieci nie jest godny naśladowania. Przede wszystkim zaś góruje nad życiem tamtejszym fakt, że Francuzi unikają potomstwa. Znów niemniej bogate społeczeństwo, Stany Zjednoczone, dzieci bardzo kocha. Tej miłości mieliśmy dowód sami w latach nędzy powojennej. Nawet zbliżone do siebie pewnymi cechami narody, jak Japonia i Prusy, obydwa mocne, karne, imperialistyczne, bardzo różnie odnoszą się do dzieci: w Japonii panuje kult dziecka, gdy w Prusach — brutalność. Podobne różnice dostrzegamy w poszczególnych warstwach społecznych.

W naszym narodzie są duże różnice między stosunkiem do dziecka warstw umysłowo pracujących a ludu wiejskiego. Nawet da się dostrzec znaczne różnice w poszczególnych dzielnicach, np. zachodnich i wschodnich. Tak różnorodne ustosunkowanie się do dziecka zależy bodaj od tego, co w dziecku widzimy lub widzieć chcemy.

Dziecko jest istotą, którą trzeba nakarmić, ubrać, leczyć, kształcić. Jest więc źródłem wydatków materialnych, zazwyczaj bezzwrotnych. Z tego punktu widzenia dziecko jest złym interesem. I nie zmaterializowani ludzie, jak i społeczeństwa dzieci unikają, a jeżeli je mają — nie wiele okazują im sentymentu. Ale bywa dziecko i interesem dobrym, np. w rodzinach drobnych rolników; utrzymanie dziecka kosztuje mało, a pomoc w pracy gotowa. Nie unika się wtedy dzieci, rodzą się one nawet nadmiernie, ale traktowane są jako robotnicy. Pracują ponad siły, z krzywdą dla swego rozwoju, bez radości dziecięcego wieku. Ten sam pogląd na dzieci mają różni przedsiębiorcy, zatrudniających młodocianych jako tańszy materiał roboczy.

Dziecko jest nie tylko kosztowne, dziecko wymaga opieki, poświęcenia. Dziecko żyje i rozwija się, dzięki ciągłej pracy dlań dorosłych.

I znów tam, gdzie występuje użycie i wygoda, jako główny cel życia — nie ma właściwego miejsca dla dziecka.

W przytoczonych wypadkach głównym motywem w ustosunkowaniu się do dzieci ludzi dorosłych jest interes.

Taki pogląd na dziecko jest oczywiście niezmiernie ciasny. Wszystkie celowe wkłady, łożone w dzieci, opłacają się sowicie, choć zazwyczaj nie wracają do tego, kto je czyni. Oddane one będą z procentem innym — społeczeństwu.

Tymi właśnie ofiarami i wyrzeczeniem się dla dzieci żyją i rozwijają się narody. Tu występuje drugi motyw w ustosunkowaniu się do dzieci — interes społeczeństwa.

Wreszcie trzeci motyw — interes samego dziecka, czyli motyw ze strony starszych bezinteresowny.

Dziecko jest pięknym zjawieniem życia, pełnym uroku i swoistych wartości.

Te motywy: motyw egoistyczny, motyw dobra społecznego i motyw dobra samego dziecka, decydują o stosunku do dziecka, decydują o jego rozwoju i przyszłości społeczeństwa. Oczywiście występują one bardzo rzadko pojedynczo, zazwyczaj w pewnym połączeniu. Mowa tu jednak o przewadze jednego z nich.

Wyjaśnię to na przykładach.

Głośny do niedawna z reformy szkolnej Wiedeń ustosunkował się do dziecka pod kątem widzenia społecznym. Austria przeszła ciężki przełom i z mocarstwa stała się państewkiem — potworkiem o wielkiej głowie i małym ciele, bez podstaw gospodarczych, bez siły zbrojnej, bez

znaczenia. Wtedy to wszystkie nadzieje złożyła w młodym pokoleniu. Szkoły, pełne ducha wychowawczego, ogniska pozaszkolne, zakłady dla dzieci trudnych do prowadzenia, kliniki i zakłady dziecięce — wszystko to służyło zdrowiu, nauce i wychowaniu dzieci. Zdziwiony codzoziemiec, widząc ten rozmach, nieraz i przepych w instytucjach przeznaczonych dla dzieci, dziwi się, jak to się da pogodzić z ciężkim położeniem gospodarczym państwa. Otrzymuje na to odpowiedź: — „dla dzieci wszystko". Tak czyni gmina Wiednia i tak postępują przeciętni obywatele.

Polska wycieczka zwiedza Muzeum Narodowe. Oprowadza wiedeńczyk. Wśród uczestników wycieczki zaplątał się jakiś miejscowy chłopiec 10—12-letni. Wycieczka nie reaguje na jego obecność, ale odczuwa chłopca jako obce ciało. Spostrzegł go przewodnik i od razu bierze pod opiekę; stawia go na przodzie, zwraca się doń z wyjaśnieniami; chłopiec rozmawia z nim wcale nie skrępowany, jak ze starym znajomym — widać przyzwyczajony do takiego traktowania.

Za przykład kraju, gdzie ludność dziecko kocha bezinteresownie, może służyć Japonia, którą jeden z podróżników nazwał krajem, gdzie nie słychać płaczu dziecka. Opowiadano mi, że kiedyś nasz poseł pełnomocny wysłał służącego Japończyka, aby usunął z ulicy bawiące się hałasujące dzieci japońskie, które nie dawały posłowi pracować. Ponieważ hałasy nie ustawały, poseł wychyla się i widzi, że służący stoi przed domem z miną bardzo nieszczęśliwą.

— Czemuż ich nie uspokoisz?

— „Jak ja im to powiem?" — odpowiada przygnębiony służący, nie mogąc się zdecydować na przerwanie zabawy dzieciom.

Bezinteresownej serdeczności japońskiej względem dziecka doznały nasze dzieci, wracające z Syberii do ojczyzny. Burza rewolucji rosyjskiej zapędziła je do Japonii. Wybuchła między nimi epidemia tyfusu. Dzieci leżały w szpitalach pod sumienną opieką personelu japońskiego. W pewnej chwili mała dziewczynka o coś prosi. Pytają się — mówi: „doktora". Przychodzi doktor. Dziecko porusza głową — „nie ten". Sprowadzają lekarza naczelnego; dziecko: „nie ten". Domyślono sie, że chodzi o lekarza Polaka, opiekuna dzieci. Sprowadzają go. Dziewczynka szepce „lalki". Fakt ten opisano w jakiejś gazecie japońskiej. I oto dzieci polskie formalnie zasypano zabawkami. „Brak tym biednym dzieciom zabawek — trzeba im je posłać" oto reakcja Japończyka na pragnienie dziecka, dziecka obcego. Tutaj dopiero występuje zrozumienie przez społeczeństwo prawa dziecięctwa, to poczucie, że dziecko winno się radować, winno być szczęśliwe — kult dziecka. Przecież te dzieci były obce Japończykom rasą, religią, zwyczajami; dziś są w Japonii, jutro ich nie będzie. Co Japończyka dzieci takie mogą obchodzić ze stanowiska jego własnego społeczeństwa! Ale dla niego są to — dzieci.

W Prusach stosunek do dzieci również opiera się na motywach spo-

łecznych, ale w odróżnieniu od Austrii, w stosunku tym jest mało umiłowania samego dziecka, natomiast dużo brutalności i łamania duszy dziecięcej.

W stosunku do dzieci we Francji przebija przewaga motywów egoistycznych — może więcej niż w wielu innych sąsiednich państwach.

Spójrzmy teraz na życie polskie. Jakie motywy w stosunku do dziecka odgrywają rolę górującą? Nie łatwo na to odpowiedzieć. Trzeba bowiem przeprowadzić granicę między stosunkiem do dziecka, z którym jest się związanym węzłami krwi a stosunkiem do dziecka obcego. Między tymi dwoma stosunkami jest istna przepaść. Można to wytłumaczyć swoistymi właściwościami naszego życia i ukształtowaniem się naszego typu psychicznego. My nazywamy siebie narodem indywidualistów. Jest to nieporozumienie. Prawdziwe indywidualności w Polsce są rzadkie. Nam brak jest uspołecznienia i stwarzamy sobie na pociechę taką koncepcję. Przeważa u nas kultura rodzinna. Nas właściwie należy nazwać „rodzinnikami”. Od wieków żyjemy rodzinnym życiem przede wszystkim.

Poczucie obcości nieswojego dziecka w Polsce zachodzi w bardzo silnym stopniu. Nie tylko pracy, ofiary i poświęcenia, ale nawet doraźnej opieki, dobrego słowa i uśmiechu spotyka dziecko u nas bardzo mało poza domem rodzinnym i szkołą.

Niech się zmieni ten stosunek.

Nowiny Polskie.

Garść wspomnień z pobytu w Miejscu Piastowym.

(Ciąg dalszy)

Trzeba to samemu przeżyć, aby móc opisać uczucie, jakiego doznaje człowiek znękany burzami i przejściami życia, — gdy mu się nagle odsłoni taki miraż zupełnej ciszy i spokoju, jakiegoś po prostu rozpłynięcia się w tym, co graniczy z nieskończonością i nic nie ma wspólnego z małostkowością zdarzeń tego świata. Powiedział mi potem ktoś, komu się zwierzałem z tych moich uczuć, — powiedział mi, abym uważał, czy to uczucie nie jest tylko przelotne i chwilowe, czy potem nie wrócą te wichry i nawałnice, które przewracają nieraz człowieka, obalają go i każą żyć w męce dalszych udręczeń i wątpliwości. Nie wiem — możliwe... nie przypisuję sobie takiej siły ducha, abym mógł już dzisiaj określić ze stuprocentową pewnością, czy się to wszystko jeszcze u mnie nie powtórzy. Wszak wszystko dzieje się na świecie z woli Stwórcy i nikt z nas nie wie, kiedy będzie wyczerpany

ostatecznie kielich goryczy. Ale takie chwile, jak ta, którą wtedy przeżyłem w tej kaplicy, pozostawiają niezatarte wspomnienie na całe życie... umacniają, krzepią, posilają i pozwalają w przyszłości nawet łatwiej znosić to, co nas jeszcze czeka.

Dzwonek, rozlegający się na korytarzach, które łączą się z kaplicą, wyrwał mię z tych rozważań i rozmyślań... nie nazwę tego modlitwą, bo było to coś więcej od zwykłej modlitwy. Była to po prostu ucieczka duszy do Boga, ukorzenie się przed Jego Majestatem, złożenie aktu ofiary adoracji i całkowitego z Nim zjednoczenia się.

Chwila ta przeszła, minęła.

Trzeba było iść dalej i złączyć się z tymi, którzy Temu Najwyższemu służą w pokorze ducha i zaparciu się wszelkich radości tego świata, wziąwszy na swe barki ciężar odpowiedzialności za dobre wykonanie powierzonego im dzieła wychowania. Przyszły mi na myśl słowa wielkiego wychowawcy Pestalozziego: »...skrzętna i mrówcza praca pełnych poświęcenia wychowawców buduje przyszłość narodu...«

. . . .

W dużej sali jadalnej (refektarzu) obliczonej na przeszło 250 stołowników (wychowawcy posilają się razem z wychowankami i mają ten sam wikt) rojno i gwarno. Przy środkowym stole starszyzna, księża i bracia zakonni. Ci ostatni w dni powszednie noszą się po świecku a tylko na niedziele i święta przywdziewają strój zakonny (sutanny przepasane czarnym pasem). Ksiądz Rektor Generalny (w Miejscu Piastowym jest siedziba zwierzchnika wszystkich zakładów OO. Michalitów w Polsce) uderza w dzwonek. Modlitwa... Po modlitwie czytanie (czyta jeden z wychowanków) — w czasie czytania posilanie się. Posiłek bardzo skromny. Zdziwiłem się nawet trochę, że jednak w tym, co mi mówiono, nie było przesady, — kartoflanka a raczej kapuśniak i ziemniaki z omastą jako drugie danie. Czasem na odmianę bywa pęcak, czasem ryż na mleku, czasem zacierka. Sądziłem, że jednak może te opowiadania o tym wikcie są nieco przesadzone. Stwierdziłem jednak, że w istocie jest to szczera prawda.

Gdy tak powoli i ostrożnie podnosiłem do ust łyżkę z tymi ziemniakami jakby w obawie czy też nie za dużo ich może skonsumowałem, — czytanie się skończyło — a ks. Rektor z uśmiechem zapytuje mię, jak mi ten wikt smakuje. I zaraz potem, nie czekając na moją odpowiedź, dodaje: »Proszę pana — u nas to już tak jest w zwyczaju. Taki wikt u nas jest zawsze i innego nie było. Nasz świątobliwy Założyciel tak nas uczył i wychowywał. To była jego zasada — nie

przyzwyczajać młodzieży do innego wiktu, jak najskromniejszy — jak ten, który się utrzymuje w zwyczaju u miejscowego ludu. Nasza młodzież tak się od lat odżywia i jakoś nie notujemy w naszym zakładzie żadnych znaczniejszych wypadków zachorowań. Chłopcy są zdrowi i weseli. Proszę spojrzeć na nich«.

Obróciłem głowę dookoła i rzeczywiście zauważyłem wszędzie roześmiane, zdrowe, wesołe twarze... Żaden z nich ani nie grymasił, ani nie był smutny. Jedli aż im się uszy trzęsły i jeszcze porcje powtarzali.

— A widzi pan — cała tajemnica leży w tym, że my jemy to samo, co oni jedzą. I żadnemu z nich ani na myśl nie przychodzi, że mogliby jeść coś lepszego... Tak samo — jak pracują — to wiedzą, że nie pracują dla nikogo obcego — ani na zysk, ani na spekulację, ani na interes — ale pracują sami dla siebie. Chłopcy nasi sami pomagali przy budowie tych domów, w których obecnie mieszkają — porobili we własnych warsztatach pod nadzorem sił fachowych wszystkie drzwi i okna, wykonali potrzebne okucia — oni sami zdrenowali grunta, na których te domy stoją (i to robili dreny rurkowe i faszynowe) — oni we własnej ślusarni wykonali wszystkie te łóżka, na których śpią obecnie, — urządzenia wodociągowe, urządzenia parowej suszarni bielizny oraz kuźnię... oni sami gotują te potrawy, które na stół przychodzą (kuchnią kieruje starszy braciszek — doskonały kucharz!) — oni nawet — jak to pan kiedyś wyczyta w naszych sprawozdaniach z lat ubiegłych — pozawierali kontrakty o dostawę materiałów do budowy domów i umowy z majstrami. Tak to już pokierował tym wszystkim nasz śp. Założyciel, który zawsze mawiał, że najważniejszym punktem wychowania młodzieży jest rozwijanie u niej poczucia samodzielności i własnej inicjatywy. Żadne wystruganki, wycinanki, naklejanki — żaden sport choćby najlepszy nie przyniesie tym biednym, opuszczonym dzieciom takiego pożytku, jak celowa, rozumna, pożyteczna praca spełniana dla siebie samych... Toteż te dążności u młodzieży musimy pielęgnować i rozwijać, aby ich wyrobić na ludzi zdolnych do życia. A być zdolnym do życia to nie to samo, co potrafić »zarobić na kawałek chleba« — bo zarobek dziś jest a jutro go nie ma — chłopak straci gdzieś pracę — straci zaraz rozum i głowę i już po nim... My uczymy naszych chłopców walczyć z przeciwieństwami życia, borykać się z nimi, dawać sobie radę. Dlatego u nas taki wikt skromny — i to im kiedyś wyjdzie na zdrowie... Bo nauczyli się poprzestawać na małym... I dlatego im tak smakuje... *(C. d. n.)*

S. S.

Dr MACIURZYŃSKI ADAM.

Znaczenie gruntownego myślenia w życiu człowieka i nauka jego w szkole.

(Dokończenie).

7. Plany na przyszłość.

Jak przykro jest rozmawiać z młodymi ludźmi (obojga płci), którzy często opowiadają o swych zamierzeniach na przyszłość. Naiwność, obrazy z fantazji z przeczytanych dzieł, ze świata zmyśleń chyba, przeplatają się wzajemnie w pięknej harmonii. Jakie to zyski, jakie zarobki, powodzenie, stanowiska czekają na nich! Wprost zaczarowane zamki na zaczarowanych górach! Brak tylko zaklętych królewiczów i śpiących królewien! Gniewają się, gdy czyni się im uwagi krytyczne. Gdy zaś wymarzone rzeczy nie dochodzą do skutku, gdy często wszystkie urojenia walą się jak domki z kart, popadają w rozpacz i niekiedy kończą życie samobójstwem. Brak wytrwałości, brak hartu do walki z przeciwnościami, brak cierpliwości, brak poczucia gruntu rzeczywistości. Brak krytycznego obrachowania, planu, a co najważniejsze, brak oparcia się o zasady chrześcijańskie, by w ciężkiej chwili zachować nadzieję w lepszą przyszłość i pogodę ducha!

Wielu też (nie wiem czy to tylko u Polaków) ma to do siebie, iż oblicza po największej części wszystko tak, jak być powinno, a nie tak, jak jest! Podobne rozumowanie często słyszymy przy rozmaitego rodzaju kupnach, sprzedażach, przy zakładaniu nowych przedsiębiorstw, warsztatów. O krok od tego tylko jest również niemądre »Ja myślałem«, na które dowcipniejsi z miejsca odpowiadają przysłowiem o myślącym indyku.

8. Łatwowierność starszych „ptaki niebieskie“.

Zdaje się, że wyczerpiemy ten szereg, że tak powiem, codziennych, powszednich dziwolągów ludzkich, gdy zamkniemy go napomknieniem o ciekawym i bardzo, niestety często spotykanym i wyśmiewanym typku ludzi, bardzo łatwowiernych, naiwnych, dobrodusznych. Nie nauczyli się oni w dzieciństwie, w szkole myśleć roztropnie, krytycznie, tylko z góry narzucają każdemu swą niemądrą zasadę, iż każdy człowiek jest zacny, poczciwy, że nie można nikogo podejrzewać o złe zamiary, że ktoś może coś złego knuć przeciwko nam. Ludzie ci bardzo często stają się ofiarą żerowania na ich głupocie przeróżnych »ptaków niebieskich«. Stąd też pochodzą owe sławne kupna rynków miejskich, kolumny Zygmunta, w Warszawie dworców kolejowych, a nawet paryskiej wieży Eiffla itp.

9. Środki zaradcze. Rola nauczycielstwa.

Jakież są środki zaradcze przeciwko temu? Starsze społeczeństwo pouczają inni, — młodszych szkoła ma uzbroić na drogę życia. Szkoła ma największe zadanie, kształtuje bowiem charaktery i największe są jej zasługi. Ci budowniczowie przyszłości narodu, to szare bohaterki i bohaterzy, w mieście, na wsi, w swym codziennym i ciężkim życiu.

Nauka i wychowanie w ich ręku posiadają dla osiągnięcia swego szczytnego celu cały zasób środków pomocy, które umiejętnie, roztropnie użyte przynoszą obfite plony, bo wytwarzają zastępy mądrych, dzielnych, wytrwałych obywateli jak np. pokłosie szkoły ks. Konarskiego — to twórcy Konstytucji 3 Maja — to chluby narodu.

10. Sposoby pracy.

Rozważmy w jaki sposób może nauczycielstwo, w tym zakresie, spełnić swe szczytne zadanie? Obok wielkiego celu: dania gruntownych podstaw różnych gałęzi wiedzy, istnieje drugi niemniej wielki cel: wyrobienie charakteru, nauczenie i wdrożenie w zasady porządnego, roztropnego myślenia. Przeciwko bowiem bezmyślności najlepszym środkiem zaradczym »antidotum« jest jego przeciwieństwo. Spełniamy to wielkie zadanie dwojako: przy nauczaniu przedmiotów ustnych, pamięciowych i wypracowania piśmienne.

11, Planowość w przedmiotach pamięciowych.

W tego rodzaju przedmiotach jak: religia, historia, geografia, przyroda, w dziale ustnym języków młodzież ćwiczy się w myśleniu przez opracowywanie planów (dyspozycyj) sprawozdań z różnych czytanek, urywków, wyjątków (nigdy ustępów!), o przeprowadzanie rozbiorów (analiza) i rozumie się samo przez się w treściwym, rozumnym opowiadaniu i mądrych, pięknie wyrażonych, odpowiedziach. Koroną zaś i celem, do którego dążymy przez powyższe i przez wypracowania, rozprawy ustne (dyskusje), krytyczne omawiania, uwagi rzeczowe, uogólniania wyników to SCALENIE MYŚLOWE (SYNTEZA).

12. Planowość w wypracowaniach piśmiennych.

Przy wypracowaniach piśmiennych zwróciłbym uwagę koleżanek i kolegów z nauczycielstwa na rzecz wielkiej wagi, a często niedocenianą lub też traktowaną zbyt powierzchownie. Chodzi mi mianowicie o opracowywanie w pierwszej linii planów zagadnienia (tematu, osnowy).

W tym dziale ważną jest rzeczą, iż zanim młodzież rozpocznie pisać zadanie, (referat, sprawozdanie, pracę) powinna naprzód opracować główne jego zarysy, części. Nasza młodzież, powiem z naciskiem, nie lubi takiego sposobu pisania. Trzeba myśleć! Dlatego też z początku, dla przyzwyczajenia i wdrożenia piszemy plany bardzo ogólne, z czasem przechodzimy do coraz bardziej szczegółowych. W niższych klasach ujmiemy plan wycieczki w trzy krótkie wyrażenia np. wstęp: Przygotowanie do wycieczki. Rozwinięcie: Jej przebieg. Zakończenie: Doznane wrażenia. W miarę wyrobienia się uczących części te coraz bardziej się rozszerzają, uogólniają, scalają myślowo (syntetyzują).

Często przy wypracowaniach młodzież się męczy, zanim ustali plan i woli raczej pisać bez planu, jak popadło, a dopiero po napisaniu całości dosztukowuje go na czoło pracy. Takie postępowanie, moim zdaniem, jest nie na miejscu, nie jest to bowiem ćwiczenie się w porządnym myśleniu, ale tylko zadośćuczynienie wymaganiu.

13. Opracowywanie charakterystyk, jako ćwiczenie w myśleniu i ocenach.

Niesłychanie wielkiej wartości przy nauce myślenia jest opracowywanie w szkole charakterystyk osób wymienionych w omawianym utworze. Młodzież nabywa wprawy w wyprowadzaniu i tworzeniu sobie sądów z czyjegoś powiedzenia, ocenia charakter osoby z jej zachowania się, wyrażenia, działania (charakterystyka: pośrednia, bezpośrednia, dodatnia, ujemna, wewnętrzna, zewnętrzna itp). W życiu bowiem musimy tworzyć sobie sądy o kimś z jego mowy, ruchów, a nawet gestów i mimiki itd. Musimy się domyśleć tego, czego ktoś nie dopowiedział, musimy, jak mówią nauczyć się czytać pomiędzy wierszami. Wprost musimy odgadywać myśli cudze i według nich pokierować naszymi działaniami.

W okresie Wielkiej Wojny podczas mego pobytu w Bernie widziałem odpowiednie ćwiczenia młodzieży szkolnej. Wszystkie powyższe metody, sposoby, środki dążą do tego, aby wyrobić z dzieci ludzi życiowo przygotowanych do walki, sprytnych, roztropnych, z życiem otrzaskanych, zrównoważonych do pewnego stopnia, — w dobrym znaczeniu — przebiegłych.

14. Wzory u starożytnych.

Już dawni Hellenowie (Spartanie) starali się nauczać swe dzieci, chociaż w nieetyczny sposób, sprytu i przebiegłości życiowej, gdy pozwalali im kraść drobne rzeczy, sprytnie ukryć i umiejętnie wykręcić się z tego »sianem«. Nic w tym nie było dziwnego, bo bożek ich i patron, Hermes w Rzymie przemianowany na Merkurego, jeszcze jako mały chłopczyk ukradł zręcznie Apollinowi woły, za co uwielbia go Horacy w jednej ze swych ód (Mercuri, facunde nepos...) Ideałem Hellenów (tak się Grecy i dziś nazywają) był człowiek nie tylko odważny i dzielny, rycerski jak Achilles, ale także i obrotny, przebiegły, chytry, sprytny, a mądry i w fortele obfity, co potrafi wybrnąć z najbardziej trudnego położenia życiowego jak Odysseusz Ulixes! A to jest wielką sztuką! Nasza dzisiejsza etyka chrześcijańska posiada o wiele doskonalsze sposoby ukształcenia serca i rozumu. Jeżeli więc jak największa ilość młodzieży będzie postępować roztropnie, z namysłem i wytrwale, to z pewnością zapewni sobie samym szczęście, swym wychowawcom zadowolenie, a ojczyźnie sławę i potęgę.

UWAGA. Na kursach nauczycielskich w Łucku w r. 1931 sprzeciwiłem się, wobec przedstawicieli Ministerstwa W. R. i O. P., twierdzeniu wykładowcy (prelegenta) jakoby charakterystyki (umiejętnie opracowywane) niczego nie uczyły. W planach ministerialnych obecnie zajmują one poczesne miejsce, obok kształtów i barw, o których uczyłem w Tarnopolu w 1910 r.

O ofiarności.

Ks. Bronisław Markiewicz tworząc Zakłady wychowawcze dla sierót i dzieci opuszczonych, miał jasną świadomość wielkich trudności, na jakie akcja ta napotkać musi, o ile ma być zrealizowaną niezmiennie i stale

w duchu Jego zamierzeń i jasno wytkniętego programu. W myśl tego programu bowiem w Zakładzie miało znaleźć schronienie, utrzymanie i naukę każde dziecko opuszczone i biedne, którym nikt się nie chce zająć, ani krewni, ani znajomi, ani magistrat, ani nawet gmina. Nikt za nie nie zwróci kosztów utrzymania, ani nawet „Bóg zapłać" za to bardzo często nie powie. Dla takich w pierwszym rzędzie Zakłady swoje przeznaczał. Wiedział dobrze, że na to funduszów potrzeba ogromnych i wciąż nowych, bo trudno było się łudzić nadzieją, że takie Zakłady mogą być samowystarczalnymi, wszakże od wychowanków opłat nie wezmą żadnych, a biednych i opuszczonych dzieci rzesza ogromna, w Galicji przedwojennej obliczoną była już na 60.000

Istnienie tych zakładów opierał częściowo na zorganizowaniu warsztatów rękodzielniczych, w których młodzież mogłaby pobierać naukę rzemieślniczą i częściowo czerpać środki na utrzymanie, ale nie podobna było przypuszczać, aby to miało wystarczyć. Dlatego też Ks. Założyciel całą nadzieje oparł na ofiarności społecznej, do której odwołał się z całym zaufaniem, wierząc, że na tak szlachetny cel w społeczeństwie i środki się znajdą.

Nie zawiódł się w swej nadziei, bo wszakże rozwój, rozbudowa Zakładu i prawie jego cała działalność 44-letnia to przecież dzieło ofiarności szlachetnych Dobrodziejów Zakładu.

Od ofiar na ten cel nie uchylali się ani bogaci, ani biedni. — Płynęły z różnych stron Polski datki mniejsze i większe, bez względu na różne czasy, jakie społeczeństwo nasze przeżywało.

Ks. Założyciel w zupełności miał słuszność, licząc na tę ofiarność tak dalece, że na niej oparł byt swoich Zakładów bez zastrzeżeń i bez żadnych ograniczeń. Wierzył silnie i po prostu, w całym tego słowa znaczeniu, że w Polsce jest bezwarunkowo więcej dobrych niż złych, więcej miłosiernych niż obojętnych na nędzę i potrzebę dzieci biednych i opuszczonych. Wierzył, że jest na tyle w społeczeństwie polskim szlachetności i serca, że dzieciom biednym chleba nie braknie, że należy tylko tę akcję zorganizować, umiejętnie tym się zająć a grosz się znajdzie, i to dany ręką życzliwą i błogosławiącą. Dadzą bogaci i to z wdzięcznością, że się ich nie wyłącza od takiej pięknej współpracy, dadzą i biedni, bo ci zawsze biednych łatwiej zrozumieją i wspomogą. Tak rzeczywiście bywa i jeśliby z dzieł miłosierdza należało wydać sąd o wartości narodu, to naród Polski zasługuje na najwyższe pochwały. Tyle intencyj dobroczynnych żyje i korzysta z ofiarności społecznej w Polsce tyle zakładów, szpitali, schronisk, ochronek im zawdzięcza swój byt, że bez przesady można powiedzieć, że miliony w Polsce idą na dobroczynność — a przecież pamiętać potrzeba, że jesteśmy społeczeństwem biednym i ludzi bogatych, w tym znaczeniu, jak się spotyka bogatych w Ameryce, Anglii, Holandii, we Francji, w Polsce w ogóle nie ma. Każdy

walczy z trudnościami urzędnik i kupiec, rolnik i ziemianin, a jednak każdy ma jakieś umiłowane dzieło, które wspiera ofiarami swymi jawnie czy skrycie, nie szukając w tym nawet uznania. Ludzie, którzy na zewnątrz lubią pozować na zimnych materialistów, którzy otwarcie wyznają światopogląd niekatolicki, owszem kościołowi niechętny, bardzo często dają skrycie ofiary na dzieła miłosierdzia, którym kościół patronuje.

Zdarza się jednakowoż i to dość często, że są ludzie, którzy uchylają się od ofiarności, powodowani fałszywym wstydem, jakkolwiek chęci ich są jak najlepsze. Dzieje się to u tych, którzy dawniej zamożni, później z powodu całkiem zrozumiałych przyczyn, zubożeli. Ongiś dawali hojnie, stosownie do zajmowanego stanowiska społecznego i godności rodu — później tyle dawać nie mogąc, nic nie dają, wstydząc się dać mało. Niejeden sądzi w ten sposób — dawniej dawałem ofiary po 1000 zł, dzisiaj nie mogę — a przecież 1 złotego im nie poślę, bo dla mnie to nie wypada. — Ależ dlaczego miałoby nie wypadać? — Nie tylko 1 złotego, ale i 50 groszy z największą wdzięcznością przyjmiemy, tym chętniej, że właśnie te groszowe datki w sumie zliczone, więcej nam dają rocznie, niż ofiary wielozłotowe, pominąwszy oczywiście fundacje nadzwyczajne, które aczkolwiek bardzo rzadko, ale przecież się zdarzają. Dlatego chcielibyśmy, aby wszyscy nasi Szlachetni ofiarodawcy zechcieli uwierzyć, że każdy najskromniejszy datek, parogroszowy nawet, przyjmujemy zawsze z największą wdzięcznością, również stare odzienie, przybory szkolne, wszystko. A jak Pan Bóg waży takie ofiary, to przecież wynika ze słów Chrystusa o owej wdowie, która grosz do skarbony wrzuciła. A Pan Bóg za jałmużnę płaci i z pewnością niejeden, za ofiarę 10-groszową dziś daną, hojniejszą sobie zyska zapłatę, niż dawniej za datek wielozłotowy ze względu na warunki, w jakich jest daną.

Od dawania jałmużny, od uczynków miłosierdzia, od stosowania czynem miłości bliźniego odwyknąć nie można, właśnie tak jak nie można pozbawiać się błogosławieństwa Bożego i wartości dobrego uczynku. Przy tym jest to cnota, którą stosunkowo najłatwiej jest w życiu stosować — inne przychodzą znacznie trudniej — mimo to Pan Bóg i za nią zapłaci, bo i kubka wody zimnej podanego bliźniemu nie pozostawi bez nagrody. Zresztą, czy ona jest łatwą czy trudną, jest jedną z najszlachetniejszych, najpożyteczniejszych dla swoich wartości rzeczowych i społecznych. Ona zastąpi wiele braków i niedoskonałości nawet wobec surowych sądów Bożych — a brak jej niczem zastąpić się nie da.

Dlatego i my za przykładem Ks. Założyciela, z całym zaufaniem liczymy zawsze na dobroć i szlachetność Rodaków i bez względu na bezrobocie naszych warsztatów i brak wszelkich dochodów — bez uwagi na preliminowany budżet, który prawie w całości jest jednym wielkim deficytem, bo tylko ma jedną pewną stronę „Wydatki“, a po stronie „Dochody“ — jest na razie jedna wielka niewiadoma — to jednak na

rok bieżący przyjęliśmy z górą 230 wychowanków. Będziemy robić, co w naszej mocy, aby tym dzieciakom u nas było dobrze, owszem jak najlepiej, a Pan Bóg i dobrzy ludzie o nas nie zapomną. Niech też nikt nie sądzi, że nasi chłopcy będą wychudli z głodu i nieszczęśliwi stać pod furtą zakładową, czekając żałośnie zmiłowania Boskiego. Nie, przeciwnie, będą gwarnie ze śmiechem głośnym i wesołym biegać i skakać, grać na trąbach i na nerwach swoich srodze strapionych przełożonych i na scenie krotochwilną sztukę pokażą, aż sala cała huknie śmiechem rubasznym i grzmotem oklasków odpowie ochoczo. Wszakże chcemy ich wychować nie na zgorzkniałych pariasów podchowanych z litości na skąpo wydzielonym kawałku chleba, tających w zamkniętym sercu zazdrość i nienawiść do całego świata, za swój głód i opuszczenie, ale na chłopców zdrowych, pełnych werwy i siły, zadowolonych ze swego losu, przekonanych, że im sierotom w ojczyźnie jest dobrze i będzie dobrze, byle umieli wymagania swoje stosować do skromnych życiowych warunków. Ale za to w kaplicy będą się szczerze modlić za swoich Dobrodziejów.

Jesteśmy przekonani, że Szlachetni Dobrodzieje, na których rachunek choć w części tak niefrasobliwie żyć sobie obiecujemy, całym sercem z nami się zgodzą i ofiarami swoimi, jak zwykle koszta ochotnie pokryją.

X.

Z życia Zakładowego.

Na pierwszym piętrze domu warsztatowego, w samym kącie długiego, dobrze wydeptanego korytarza, za drzwiami opatrzonymi w mleczne, karbowane szkło — znalazła schronienie nasza sławna galanteria skórzana. Dla wielu ludzi dziś jeszcze w Polsce Miejsce Piastowe to wyroby skórzane: a Galanteria skórzana to Miejsce Piastowe, a że przy tej Galanterii skórzanej w Miejscu Piastowym jest jakiś Zakład, to dla nich rzecz tak podrzędnego znaczenia, jak to np., że przy wielkiej fabryce jest gdzieś żłóbek dla niemowląt, przysposobienie wojskowe albo orkiestra dęta. Sława naszej Galanterii skórzanej stanowczo przerasta zakreślone lojalnością granice i wchłania w siebie cały Zakład, który wszakże ma inne jeszcze warsztaty dobrze zasłużone i pożyteczne. Jest to nic innego tylko aneksja bezprzykładna, która w innych warunkach i środowiskach staje się przyczyną procesów rozstrzyganych w najwyższych instancjach do Ligi Narodów włącznie. Wszakże sam słyszałem dziesiątki razy, jak mi mówiono w odpowiedzi na moje rekomendacje:

— Ach, Miejsce Piastowe, to tam, gdzie są te Zakłady skórzanych wyrobów. A to solidne wyroby — solidne — doskonałe i tanie, bardzo tanie, o, proszę, portfel stamtąd, noszę go już 8 lat, a jak się trzyma, jak nowy!

— Ach, zachwycony jestem, zachwycony, Wielmożny Mości Dobrodzieju, za tak łaskawe o nas mniemanie, rzeczywiście staramy się, staramy. I tak sobie mówimy w pociągu, czy w tramwaju o torbach, portfelach, papierośnicach; o skórach, firmach, obcej konkurencji, podatkach, ciężkich czasach, a o Zakładzie ani słówka. Po prostu Zakładu nie ma. Galanteria go pochłonęła żywcem ze wszystkim, co posiada i z całą 44 letnią przeszłością.



Pracownia galanteryjno-skórkowa.

Są to rzeczy upokarzające, a przez to niewesołe i buntujemy się przeciwko temu, ale bez skutku. Daliśmy już spokój wszelkim buntom a tylko z przykrą zawiścią patrzymy jak z Iwonicza, Rymanowa, Krosna, Warszawy, z Gdyni, Nowego Jorku, z Addis Abeby i Bóg wie skąd przyjeżdżają tu wycieczki i taka niektóra osoba jeszcze z auta dobrze nie wysiędzie, a już pyta głosem szybkim, aby go ktoś nie ubiegł:

— A gdzie to są wasze wyroby skórkowe? — I idą tym długim, wydeptanym korytarzem z ciekawością jak na wielką panoramę. Jedni wychodzą, drudzy wchodzą, mijają się na korytarzu, na schodach i w ciasnych przejściach pomiędzy stołami, przy których wre praca.

Przez wielkie oświetlone jasno komnaty idą z nabożeństwem cicho

i na palcach, szanując ciszę i skupienie pracujących, ale gdy wreszcie dojdą do magazynu, niewielkiego, dobrze zakonspirowanego pokoju, gdzie znajduje się skład gotowych wyrobów, tam już milczeć nie mogą. Zachwyt staje się zbyt wielki, aby go w ciszy można było strawić. Panie wpadają w zapał graniczący z najszlachetniejszym uniesieniem — panowie pocą się obficie (zapewne ze wzruszenia) i kurczowo chwytają za kieszeń z miną na temat: „O nieszczęśliwa moja godzina — pocom ja tu przyszedł".

Wrażenie jest bezwarunkowo silne, ale nie ma się czemu dziwić. Nie tacy tu przychodzili i wrażenie było to samo.



Pracownia galanteryjno-introligatorska.

Pamiętamy wszyscy jak w r. 1914 wielkie armie rosyjskie szły gościńcem dukielskim dopytując się skwapliwie — a daleko tam do Wiednia? — do Berlina? — gdzie kto wolał. Droga wypadała przez Miejsce Piastowe — nie wypadało ominąć, a Miejsce Piastowe to wiadomo — galanteria skórkowa.

Na nic były surowe rozkazy carskie, aby iść na Wiedeń prosto i bez zwłoki — na nic błogosławieństwc hosudarskie i wiele innych względów ważnych i świętych — w Miejscu Piastowym o wszystkim zapomnieli. Bataliony i roty stały długie godziny na deszczu i mrozie albo błąkały się jak błędne owce po nieznanych drogach i przepaściach wszelakich — pasterze tymczasem oglądali skórkowe wyroby długo, z lubością pieścili w rycerskich dłoniach sławne kurdybany, batysty, szagriny, kroko-

dyle i morskie psy, a potem zamieniali to na srebrne carskie ruble. Wysyłali to potem do Rosji jako towary wiedeńskie czy berlińskie. Ba i z pozycji przyjeżdżali — jako, że było niedaleko. Nieraz bywało pan sztabskapitan czy rotnyj komandir opuszczał swoją rotę, a sam pędził na wronym koniu do Miejsca Piastowego, aby coś kupić dla swojej baryszni, do której serce rwie się. Czy mogła Rosja w tych warunkach wojnę wygrać? Zeszło jej do tego, że według słów naszego, domowego poety (o którym jeszcze wspomnę) po czasie niedługim z Karpat uciekali zamiast „ze sztandarami i z łupami — z dziadowskimi torebkami“.

Popyt na wyroby skórkowe ze strony oficerów rosyjskich był tak silny, że trzeba było uruchomić cały warsztat i wszystkich robotników i uczniów zmobilizować do roboty, mimo iż cały lokal galanterii zajęty był na szpital polowy.

Warsztat mieścił się wówczas w sali teatralnej, co znów wywołało groźne oburzenie zwolennikow sceny i wyrzuconych na bruk aktorów i statystów. Wieczorami zbierały się gromadki pokrzywdzonych w korytarzach i opuszczonych pracowniach i spiskowały długo i zawzięcię, przeciwko niezrozumiałej tyranii losów. Tłum się burżył i była obawa zbrojnych demonstracji. A przywódcy „mas“ radzili długie godziny w kuchni albo piekarni, ale wyniki obrad pozostały w tajemnicy. W każdym razie do wybuchu zbrojnego nie doszło ze względu na wyjątkowe położenie spowodowane wojną i potrzebą utrzymania spokoju w domu.

Tymczasem galanteria pracując dzień i noc zasypywała cały rosyjski korpus oficerski swoimi wybornymi wyrobami. Petersburg, Moskwa, Charków, Kijów, Tuła, Samara, Wołogda, Kaukaz, Ural i Władywostok odbierały częste przesyłki skórzanych torb i teczek w świętym przekonaniu, że to wszystko płynie ze zdobytego Wiednia lub Budapesztu. Rosjanie tryumfowali ale za ten tryumf musieli drogo zapłacić: Miejsce Piastowe dla ich armii stało się tym, czym Kapua dla wojsk Hannibala. Tak zawsze bywa, gdy armia zamiast walczyć — handluje skórkami. Na usprawiedliwienie jednak Rosjan trzeba powiedzieć, że nie tylko ich armia prosta i mało inteligentna, ale nawet watykańska gwardia szlachecka nie oparłaby się tej pokusie i robiłaby to samo. Wyroby maszej galanterii skórzanej warte były zabiegów nawet oficerskich i generalskich. Niektórzy oficerowie rosyjscy, w przekonaniu, że to łup wojenny, chcieli zabierać te wyroby bez zapłaty, ale pewien uczciwy pułkownik, kwaterujący w Zakładzie, wystawił w pracowni urzędową wartę z bronią, z surowym poleceniem — choćby nawet przyszedł i pan sztabskapitan i jeszcze wyższy dygnitarz, a chciał kupować bez pieniędzy — nie pozwolić na to, ale go pouczyć w imieniu pana pułkownika, że to nie jest jeszcze łup wojenny, a więc sprawę kupna załatwić trzeba po europejsku, zwłaszcza, że to na utrzymanie sierót.

Bardzo się przydała ta warta i kilku panów praporszczyków niemile

skompromitowała, polecając im zapłacić za towar w chwili, gdy wybrawszy co najkosztowniejsze przedmioty i zapaliwszy papierosa z miną zdobywców świata, już chwytali za klamkę.

Dzieje wojenne tego zasłużonego dla mocarstw centralnych warsztatu oczekują jeszcze na swego historyka, który je dokładniej światu przedstawi ku nauce, jak małe przyczyny powodują nieraz wielkie skutki, jak nieraz zgubnie handel wpływa na wojnę.

Mistrzem i organizatorem galanterii skórzanej był u nas obecnie już ś. p. brat zakonny Roch Pownuk zmarły w lipcu 1934 r. Przybył do Miejsca Piastowego jako wyszkolony introligator, wysłużony żołnierz niemiecki. Przybył, aby pomóc w pracy wychowawczej Ks. Założycielowi jeszcze w roku 1895. Ks. Markiewicz polecił mu zorganizować warsztat introligatorski i rozejrzyć się w okolicy za zamówieniami, aby mieć jakiś dochód. Zamówienia się znalazły i dochody poczęły się mnożyć, ale nie było gdzie chować wpływających koron i guldenów. Więc pan Pownuk przy pomocy skóry, kleju i nici uszył sobie portfel i portmonetkę własnego pomysłu, który okazał się dobrym.

Potem zrobił drugi, potem trzeci i czwarty, a wreszcie kazał robić tuzinami. I masami zaczęły sypać się portfele, portmonetki, teczki na akta, teczki biurkowe, papierośnice, tytoniarki, walizki, nesesery, manicury, albumy, pamiętniki, pasy, paski, torebki damskie, torby, pudła, puzderka w tempie zawrotnym i obłędnym, bo odbiorcy wołali natarczywie i groźnie: „mnie! mnie! dla mnie! ja zapłaciłem! ja zamówiłem“ itd. itd. Poczta codziennie przynosiła zamówienia i listy, ale jakie to listy, po prostu noty dyplomatyczne w formie ultimatum nie dopuszczające zgoła sprzeciwu. Więc p. Pownuk czytał te listy i wściekle wodził oczyma, szarpał swą nieszczęśliwą, maltretowaną bródkę i tupał nogą, zwiększając tempo robót do niesłychanych granic. Pracownicy galanterii skórzanej byli już bezapelacyjnie wyjęci spod wszelkich robót pozawarsztatowych. Nawet i podczas inwazji rosyjskiej, kiedy wszystkie warsztaty stały, tam praca wrzała.

I po wojnie jeszcze galanteria rozwijała się doskonale — chociaż trudności walutowe inflacyjne były niemałe. Ale przyszedł i na nią zły czas, gdy odbiorcy kupcy i komisjonierzy pobankrutowali i odmówili wypłat. Galanteria podzieliła los tylu firm w Polsce. Pozbawiona całego kapitału, dorobku lat wielu, musi dziś prawie od początku zaczynać raz jeszcze — ale w warunkach znacznie trudniejszych.

Dzisiaj na tym korytarzu, za oszklonymi drzwiami wre praca ale nie jest to, co dawniej. Przyjeżdżają wycieczki, zwiedzają, przebierają i kupują z głośnym zachwytem, a kierownik obecny p. Teodor Błaszczyszyn patrzy na to smętnym wzrokiem, kiwa siwiejącą czupryną z łagodnym uśmiechem, ale w duszy sobie mówi:

— Ha, trzeba było tu przyjechać przed paru laty. *X.*

Z kroniki domowej.

Dnia 29 czerwca b. r. odbyła się w domu naszym uroczystość uczczenia 25 lat Kapłaństwa Ks. Walentego Chroboka. Kapłan ten jeden z najpierwszych uczniów i wychowanków Ks. Bronisława Markiewicza, były długoletni prefekt i sam z kolei wychowawca, następnie wysłany przez Ks. Za-



Ks. Walenty Miarka-Chrobok

łożyciela do Ameryki, tam ukończył studia i przyjął święcenia kapłańskie. Zawsze jednak naściślej związany z naszym Zgromadzeniem, stał się tam w Ameryce naszym jałmużnikiem, kwestarzem, opiekunem. Przemierzał całe ogromne Stany Zjednoczone wzdłuż i wszerz, głosił kazania, odczyty, pisał artykuły w pismach, całą Polonię amerykańską zaznajamiał z naszymi Zakła-

dami i zdobywał dla nich grosz ofiarny szlachetnych Rodaków z za morza. Niejeden tysiąc dolarów przewinął się przez jego ręce na rzecz Zakładu i ratował nasze domy w najcięższych dniach niedostatku. Rzadka to i niełatwa była rzecz na tak miłą uroczystość ściągnąć i sprowadzić tak zasłużonego i drogiego Solenizanta w mury Zakładowe, bo On zawsze w podróży po obu półkulach naszego globu, wciąż zapracowany i nieuchwytny, a unikający przytem ostentacji i uznania, był dosłownie dziś tu a jutro tam. Tym większa była radość, gdy zamiar się powiódł i można było Czcigodnemu Księdzu Jubilatowi, Jałmużnikowi naszych Zakładów złożyć objawy serdeczności, czci i wielkiej miłości, jaką zdobył i utrwalił w naszych sercach. Któż by go zresztą nie kochał, choćby nie dla wyświadczanych wciąż dobrodziejstw, ale dla ogromnych zalet serca, dla tak szlachetnej dobroci i przystępności zawsze obdarzonej niefrasobliwym wesołym humorem.

Uroczystość odbyła się skromnie, bo nawet nie mieliśmy wprawy w święceniu tego rodzaju świąt, ale była szczera, płynęła z serca. Najmłodsi chłopcy biało ubrani, wieńcem zielonym jako symbolem wiecznej świeżości, otoczyli Ks. Solenizanta i procesjonalnie wprowadzili do ozdobionej okazale kaplicy Zakładowej, gdzie odbyło się uroczyste nabożeństwo z okolicznościowym kazaniem. Niedługo po uroczystości, bo zaraz na drugi dzień, Ks. Solenizant, niestrudzony kwestarz, pojechał na dalszą wędrówkę po sercach ludzkich, zbierać grosze na potrzeby Zakładu.

W lipcu święciliśmy również dwie dalsze uroczystości domowe, mianowicie prymicje kapłańskie dwóch nowowyświęconych księży naszego Zgromadzenia, a to ks. Franciszka Mendyki i ks. Wincentego Kurasa. To jest dla nas szczególnie pocieszającym, że mimo ciężkich warunków i prawdziwego niedostatku, który niejednego odstraszyłby od wstąpienia do naszego Zgromadzenia, to jednak ilość księży naszych ustawicznie wzrasta i jeszcze wiele prymicji się gotuje w latach najbliższych.

Wakacje poza tym zleciały jak zwykle — więcej przy żniwach jak w zabawie. Klerycy potężnie kosili bujne w tym roku łany ku szlachetnemu zbudowaniu wszystkich wdzięcznych za tę pomoc. Zresztą jest to już taka bardzo miła tradycja, że klerycy urządzają nam żniwa, mając w tym i tę swoją satysfakcję, że w swej mozolnej całorocznej pracy umysłowej przy ciężkich traktatach dogmatycznych i filozoficznych nie tracą wspaniałej sprawności fizycznej i przeczą wszelkim możliwym mniemaniom, że tylko praca fizyczna daje siłę i zręczność. Tak nieraz sądzą nasi warsztatowcy, z góry patrząc na szczupłych studentów i teologów, i prezentując swoje potężne muskuły wyrobione przy młotach i heblach. Ale jak przyjdzie co do czego, okazuje się, że różnicy nie ma. A już nie jest wcale tajemnicą, że w sportach wszelkiego rodzaju, najlepszymi są właśnie klerycy, żelezna ostoja reprezentacji Zakładowej na każdym konkursie.

Festyny zamierzone, po których sobie wiele obiecywaliśmy, nieszczególnie dopisały, przypadły bowiem w okresie deszczów, który psuł zabawę

w najpiękniejszych momentach i spędzał z pola najliczniejszą publiczność, jak to było w Iwoniczu. Ale coś tam się zebrało na materiały odzieżowe. Poza tym reprezentacja Zakładu z narzędziami pracy i orkiestra Zakładowa wzięły udział w Święcie Pracy, które specjalny komitet pod patronatem p. hr. Jana Potockiego zorganizował w Załużu — budując tam odcinek drogi. Była to bardzo miła okazja, już nie tylko dla wzniosłego celu, któremu służy, wszczepiając ideę pracy dobrowolnej i to jeszcze w charakterze uroczystości a nie przymusowego szarwarku, ale i dlatego, że jako wchodząca w skład zorganizowanego w Sanoku Święta Gór — korzystała z wielu atrakcyj dodatkowych, jak liczne orkiestry, barwne grupy regionalne i tychże grup artystyczne występy. A więc cel piękny połączony z wielu rzetelnymi przyjemnościami. Obecnie już w pełni rok szkolny. Opustoszały boiska sportowe, skrócone do minimum rekreacje, a tylko dzwonek coraz częstszy przypomina, że gdzieś tam w głębi milczących murów trwa cicha ustawiczna praca, na krótko przerywana odpoczynkami.

X.

POCHWAŁA PRACY.

Nie tylko podniebne loty,
nie tylko oręża cios,
lecz kilof, pługi i młoty
Polski też kują los.

Oracze na żyznej roli,
gdy dobrze zapuszczą pług,
twórcami lepszej są doli,
której nie zmoże wróg.

Górnicy w podziemnej głębi,
bijąc kilofem co sił,
budują Ojczyzny zręby
z martwych kamienia brył.

W warsztatach strudzone ręce
chcą Polsce dobrobyt nieść,
zanućmy zatem w piosence:
Cześć polskiej pracy, cześć!

Ks. Franciszek Błotnicki

*„Na miłości świat stoi. Niechno pan pomyśli: coby z nim było, gdyby wymazać te słowa: po tym poznają, żeście uczniami moimi, jeśli się wzajem miłować będziecie?... **Miłość między ludzi należy siać — jak złote zboże**, a kąkol nienawiści trzeba wyrywać i deptać nogami!"*

Stefan Żeromski („Ludzie bezdomni").
Na 10-tą rocznicę zgonu.

Za zezwoleniem Władzy Duchownej i Przełożonego zakonnego.

WYDAWCA: T-WO ŚW. MICHAŁA ARCH. W MIEJSCU PIASTOWYM.

REDAKTOR: X. JAN GÓRECKI W MIEJSCU PIASTOWYM.

Drukarnia Towarzystwa Św. Michała Archanioła w Miejscu Piastowym.

Recenzja.

„ŚLUBUJEMY“. Wyd. Instytutu Różańcowego. Toruń. Str. 72. Cena 50 gr.

Wielkie i dziejowe było „Ślubowanie Jasnogórskie“ młodzieży akademickiej w dniu 24 maja.

W dniu tym cała Polska łączyła się sercem z młodzieżą akademicką, by Matce Najświętszej razem z nimi uroczyście ślubować swoje głębokie przywiązanie do Kościoła i wierność zasadom Chrystusowym.

Cała prasa polska i katolicka poświęciła naczelne szpalty swych pism dla wypowiedzenia swych uczuć i stosunku do tego religijnego i narodwego aktu.

Ci, którym nie dane było brać osobistego udziału w historycznych uroczystościach ślubowania jasnogórskiego — przy głośnikach radiowych słuchali tych chwil pięknych a wzniosłych.

Tylko nie wszyscy słyszeli płomiennych przemówień, przemówień programowych, które wygłaszali reprezentanci młodzieży akademickiej z całej Polski podczas uroczystej akademii, zorganizowanej u stóp Cudownego Obrazu.

W tym czasie Radio Polskie — niestety — nadawało płyty gramofonowe.

Przemówienia te in extenso podane są w wydanej przez Instytut Różańcowy broszurze pt. „Ślubujemy“.

Całość tej książki, na którą prócz tych przemówień składają się wyciągi z prasy polskiej, listy i odezwy akademików do społeczeństwa, dokumenty historyczne, opis całej uroczystości itp. — stanowi niezbędną lekturę dla każdego Polaka-Katolika.

Sprawy Bożej i sprawy narodu polskiego zasypiać nam nie wolno.

Dziś szczególnie, w chwili gdy zewsząd w najczystsze nasze uczucia pragną zaszczepić zło komunizmu — starsi muszą połączyć się z młodszymi i postąpić tak zdecydowanie i jasno jak postąpiła młodzież akademicka.

Z piersi całego narodu polskiego wznieść się winien jeden mocny i potężny okrzyk: Ślubujemy!

Do czynu tego nastawi wszystkich omawiana wyżej broszura.

KALENDARZ

Królowej Korony Polskiej na rok 1937 wkrótce już opuści prasę.

Polecamy go wszystkim naszym Czytelnikom ze względu na ciekawą, zajmującą, starannie opracowaną treść.

Każdy zakupiony Kalendarz jest ofiarą na Zakład. Dzięki tym ofiarom groszowym składanym przez liczne rzesze naszych Czytelników — Zakład może trwać i mimo bardzo ciężkich warunków utrzymać 250 sierót — tyleż jest bowiem w tym roku wychowanków, których Zakład bezpłatnie utrzymuje i kształci. Ofiarność społeczeństwa jest głównym warunkiem istnienia tak dobroczynnej instytucji.

Ofiary nawet najdrobniejsze wdzięcznie przyjmujemy.

Około 300 zł rocznie kosztuje utrzymanie i kształcenie jednego wychowanka w Zakładzie dla sierót w Miejscu Piastowym. Jest ich 250. Który z szlachetnych i miłosiernych Rodaków zechce taką ofiarę ojczyźnie i Panu Bogu uczynić i złożyć tych 300 zł na utrzymanie i wykształcenie roczne jednego chłopca-sieroty? Pieniądze na to stypendium przyjmiemy w gotówce albo w obligacjach pożyczki narodowej lub inwestycyjnej. Zapraszamy do tej pięknej współpracy wszystkich zacnych Dobrodziejów, którzy na taką ofiarę mogą się zdobyć.

My natomiast wdzięczni za tak hojne ofiary, dołożymy starań, aby wykończyć resztę sal nowego gmachu i w przyszłym roku jeszcze więcej przyjąć wychowanków, choćby i 300, bo tylu pomieścimy, jeśli dom będzie wykończony.